

**Wakacje, wakacje...
i pora
na nowe wydanie
BUCa!**

Być jak Lee Miller

Chociaż codziennie w radiu podawane są informacje o tysiącach zabitych, o kolejnych zniszczonych dzielnicach, wyją syreny, a ludzie ukrywają się w piwnicach, to jednak życie płynie dalej. Nadal trzeba zrobić pranie, nadal maluje się usta i chce się mieć ułożone włosy. Te okruchy normalności prezentowane w filmie wydają się niezwykle ważne w pracach Lee Miller – tytułowej bohaterki „Lee. Na własne oczy”.

Przełom lat 30. i 40. XX wieku – to wtedy poznamy Lee Miller, była modelkę, artystkę i fotografkę, spędzającą czas na kąpielach w morzu ze swoimi europejskimi przyjaciółmi na południu Francji. W roku 1939 oczy europejskich elit spoglądały z niepokojem, ale też pogardą w stronę III Rzeszy i postaci Adolfa Hitlera. Środowisko, w którym obracała się kobieta (poeeci, malarze, dziennikarze), również interesowało się zmianami na politycznej scenie, nie wiedząc jeszcze, jakie piętno odcisną one na ich życiu.

Wojna na papierze

Zaczyna się II wojna światowa. Europa coraz bardziej pogrąża się w chaosie, także informacyjnym. Artyści i ludzie sztuki próbują znaleźć zajęcie łączące ich pasję z działaniem na rzecz aliantów. Malarze uczą żołnierzy maskowania, literaci piszą podnoszące na duchu wiersze, a muzycy grają wesole i dające nadzieję kawalki. Zostają dziennikarze, którzy nagle nie mają pracy w związku z reglamentacją papieru i cenzurą. Magazyny, takie jak „Vogue”, walczą o przetrwanie w czasach, kiedy ludziom brakuje podstawowych produktów, a nikogo nie interesuje już moda.

Tam właśnie trafia Lee. Rozpoczyna nową erę w historii magazynu – pokazywane są ujęcia z bombardowanego Londynu, kobiety w gustownych strojach, a także te w hełmach, służące w armii. Społeczeństwu przedstawiane jest inne oblicze tej wielkiej i strasznej wojny – pojedyncze historie, głównie kobiet.

Kobiety nie idą na front

Nie jest zaskoczeniem, że w pierwszej połowie XX wieku rola kobiety sprowadzała się do rodzenia i wychowywania dzieci. Wojna dodała do tej listy pracę, z uwagi na nieobecność mężczyzn, ale nie można nazywać tego równouprawnieniem. Póbobór nie dotyczył pań, więc nic dziwnego, że również wśród korespondentów wojennych trudno było je znaleźć. Lee Miller postanowiła jednak, że to, co dzieje się w Londynie, jej nie wystarcza, że musi dotrzeć tam, gdzie rzeczywiście toczy się wal-



Kate Winslet jako „Lee Miller w wannie Hitlera”?

ka. Po wielu staraniach udało się jej dostać zgodę na podróż do Francji. W filmie widzimy ją w obozie dla żołnierzy, rozmawiającą z rannymi. Pojawia się motyw przemijania i pamięci, a także powrotu do domu. Jeden wracający z frontu chłopak, pokaleczony i z pewnością obciążony traumą, z którym Lee rozmawia i którego fotografuje, symbolizuje setki, a nawet tysiące innych młodych mężczyzn, bohaterów lądowania w Normandii. Zostaną oni odesłani w podobnym stanie albo już na zawsze spoczną na francuskich plażach. Fotografka chce iść dalej, w końcu trafia do Paryża, trzy dni po wyzwoleniu. Tam dopiero dostrzega, co wojna zrobiła cywilom, spotyka swoich przyjaciół, a raczej to, co z nich zostało. W miarę upływu czasu zabiera nas coraz głębiej, w mroczniejsze miejsca, dalej i dalej, na wschód Europy. Zaczęliśmy od w miarę spokojnego Londynu, potem przenieśliśmy się do bazy wojskowej noszącej blizny, następnie do Paryża będącego jak otwarta rana, a dalej wciąż panuje chaos i śmierć.

Lee, razem z poznanym amerykańskim fotografem Davidem Shermanem, prowadzi nas za niemiecką granicę, gdzie z narażeniem życia dokumentuje aktywną walkę. Jest świadkiem samosądów dokonywanych przez wściekłą ludność, chociażby na kobietach oskarżonych o romanse z Niemcami. Dociera do Monachium, do jednej z

kwater Führera. Tam powstaje chyba jej najbardziej szokujące i rozpoznawalne zdjęcie, na którym pozuje w wannie z portretem Hitlera. W obliczu tragedii widzimy przyjaźń, jaka zaczyna łączyć się między bohaterami, wspieranie siebie nawzajem i troskę. Jest im ona szczególnie potrzebna, gdy docierają w miejsca takie jak Dachau. Nam, ludziom żyjącym 80 lat później, ten aspekt zbrodni hitlerowskich jest bardzo dobrze znany, pamiętamy o ofiarach obozów, budujemy muzea, przechowujemy pamiątki. Jednak Lee i Sherman byli jednymi z pierwszych osób docierających do obozów po ich wyzwoleniu, odkrywających ich przeznaczenie i wciąż obecnych tam więźniów, nie tylko tych żywych. Relacje i zdjęcia fotografów stanowią nieocenione świadectwo historii.

Czy można żyć dalej?

Forma narracji w filmie wskazuje na wywiad przeprowadzony w latach 70. z Lee Miller, która powoli i niechętnie wraca do swoich przeżyć. W rzeczywistości prawdopodobnie nigdy nie ujrzeliśmy jej prac, gdyby nie syn reporterki. To on po śmierci fotografki odkrył tysiące negatywów schowanych na strychu. Czy to był jej sposób na rozstanie się z przeszłością? Ukryć ją w pudełku, położyć obok starych mebli i plastikowej choinki w miejscu, gdzie nie dochoodzi światło? Na pewno był to mechanizm obronny, ale mimo tego kobieta przez wiele lat zmagala się z alkoholizmem, problemami psychicznymi i bezsennością. Można tu zastanowić się nad jej poświęceniem dziennikarskim i a ceną, jaką przyszło jej za nie zapłacić.

To zupełnie inny poziom czegoś, co dzisiaj możemy nazwać dziennikarstwem interwencyjnym, tak dobrze pokazany przez Kate Winslet w roli Lee Miller. To rzadka umiejętność wyłączenia własnych emocji i dokumentowania rzeczy, aby coś się zmieniło, wryło w pamięć ludzi i przekonało ich, że coś tak niewyobrażalnego nie może zdarzyć się ponownie. Za taką dziennikarkę współcześnie możemy uznać Annę Politkowską – kobieta zapłaciła za prawdę jeszcze więcej niż Lee, bo przyszło jej oddać życie. Ten film pokazuje dużo bólu i strachu, określa granice wytrzymałości człowieka, któremu jeszcze wczoraj takie okrucieństwo wydawało się niemożliwe. Obsada nie pozostawia wiele do życzenia – wspomniana już Kate Winslet w tytułowej roli świetnie gra kobietę gotową bić się o swoje miejsce przy stole, a Andy Samberg jako David Sherman, znany do tej pory głównie z ról komediowych, udowadnia, że takie postaci mu nie straszne. Na ekranie zobaczymy też między innymi Marion Cotillard i Alexandra Skarsgård. Film swoją światową premierę miał już w 2023 roku, a w polskich kinach pojawił się we wrześniu tego roku. Jest to obowiązkowa pozycja dla każdej osoby zainteresowanej tematyką II wojny światowej, a także dziennikarzy i adeptów fotografii.

Amelia OGRODOWCZYK
ameogr@st.amu.edu.pl

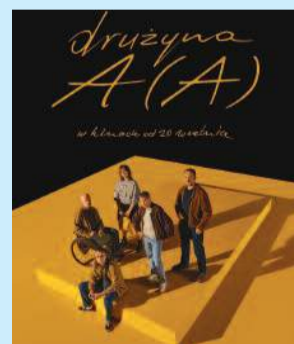


Relacja z Europejskiego
Dnia Przeciwko Handlowi
Ludźmi
s. 2

Polecamy



Recenzja spektaklu
„Drogi Evanie Hansenie”
s. 3



Recenzja filmu
„Drużyna A(A)”
s. 5



Wywiad ze Zbigniewem
Parafianowiczem
s. 7

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Wraz z początkiem roku w BUCu zaszły pewne zmiany. Z gazety po 4 latach pracy odchodzi Wiktor Kępiński pełniący dotychczas funkcję mojego zastępcy, a także szefa działu kultury. Chciałabym mu serdecznie podziękować za wszystkie radości i smutki dzielone w ciągu tego czasu wspólnie spędzonego w redakcji. Spełniaj marzenia i niech BUC zawsze pozostanie w Twoim sercu! Równie mocno chciałabym podziękować Karinie Szymczak, szefowej działu lifestyle, która ukończyła studia – w imieniu całej redakcji życząc Ci powodzenia i wytrwałości w osiąganiu wszystkich kolejnych celów! Z funkcji szefa działu sportu i social media zrezygnował Dominik Janicki, który w szeregach redakcji pozostaje i nadal będziecie mogli czytać jego teksty.

Pora więc przywitać na stanowiskach nowe osoby. Moją zastępczynią zostaje Agnieszka Łukaszewska. Od tego roku akademickiego postanowiliśmy zlikwidować dział lifestyle, a poszerzyć dział kultury, który od teraz będzie miał dwóch szefów i będą to Jędrzej Wróblewski oraz Amelia Ogrodowczyk. Szefem działu sportu zostaje Filip Szymkowiak, a stery w dziale social media przejmuje Wiktoria Konieczna. Wszystkim wspomnianym osobom życzę wytrwałości i zapału w mierzeniu się z wyzwaniami, które czekają na nich wraz z kolejnymi miesiącami i wydaniem BUCa. Nie mogę doczekać się wspólnej pracy i realizacji wszystkich planów.

Numer, który trzymacie w rękach jest efektem pracy całej redakcji pod okiem nowego szefostwa i liczymy, że przypadnie Wam do gustu. Pozostaje mi życzyć Wam w imieniu całej redakcji Bardzo Uniwersyteckiego Czasopisma przyjemnej lektury!

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska



„Czułam się jak w pułapce, bez szansy na ucieczkę”

– Po powrocie do Polski lekarze powiedzieli mi, że cierpię na zespół stresu pourazowego i będę potrzebować operacji macicy, odbytnicy, oraz pęcherza, ponieważ zostały uszkodzone wskutek ciągłego gwałcenia i przemocy seksualnej – opowiada Sylwia, jedna z bohaterek scenariusza Escape Trucku, który stanął przy Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa w ramach Europejskiego Dnia Przeciwko Handlowi Ludźmi.

Escape Truck to gra edukacyjna w formie pojazdu ewakuacyjnego holenderskiej produkcji. Wydarzenie, które odbyło się 18 października rozpoczęło się od briefingu prasowego, w którym wzięli udział przedstawiciele władz samorządowych, Straży Granicznej, Policji, ambasador Królestwa Niderlandów w Polsce, prof. Szymon Ossowski – dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, oraz Bartłomiej Krzan, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.

Na podstawie prawdziwych historii ofiar handlu ludźmi, funkcjonariusze Komendy Głównej Policji oraz Straży Granicznej przygotowali scenariusze oraz specjalne pomieszczenia, które miały odzwierciedlać warunki życia oraz uczucie przebywania w potrzasku.

Historia Sylwii

Jedną z bohaterek scenariusza była wyżej wspomniana Sylwia. Dziewczyna o samej sobie opowiadała, że pochodzi z normalnej rodziny, jest nieśmiałą, zamkniętą w sobie jedynaczką, bez przyjaciół. Cały wolny czas spędzała w mediach społecznościowych. Rodzice byli głównie w pracy, nie poświęcając córce za wiele uwagi oraz planowali jej przyszłość mimo sprzeciwu. Pewnego razu Sylwia poznała w internecie Arka, z którym miała wiele wspólnych zainteresowań, te same problemy oraz charakter. Po pewnym czasie zaczęli rozmawiać. Dziewczyna czuła się wysłuchana i wspierana. Po raz pierwszy w życiu poczuła się ważna. Sylwia przyznała, że zakochała się w chłopaku.

Jakiś czas później spotkali się w parku, spędzając kilka godzin na rozmowie, stali się nierozłączni. Przestała chodzić na uniwersytet, kontakty z rodzicami stały się jeszcze rzadsze. Kilka tygodni później Arek zaproponował Sylwii wyjazd na wakacje do Hiszpanii. Dziewczyna zgodziła się. Mieli nocować u jego brata. Jednakże życie Sylwii w Hiszpanii zamieniło się w piekło. Arek okazał się handlarzem ludźmi. Bohaterka musiała „pracować” jako prostytutka w agencji towarzyskiej, mając



Wydarzenie odbyło się w ramach Europejskiego Dnia Przeciwko Handlowi Ludźmi

co najmniej 15 „klientów” dziennie, od wczesnego rana do późnej nocy. Sylwii wielokrotnie bito. Opowiadała, że leżała zwinięta w kłębek, płacząc z bólu, bez szansy na ucieczkę.

Jeden z „klientów” stał się stałym bywalcem. Sylwia mu zaufała i opowiedziała swoją historię. Mężczyzna obiecał, że jej pomoże. Kilka dni później policja zrobiła nalot, a Sylwii zabrano do schroniska, gdzie przebywała przez kilka tygodni. Skontaktowała się z rodzicami oraz otrzymała pomoc psychologiczną. Rodzice powiedzieli, że to wszystko wina dziewczyny. Sylwia wciąż mieszkała w schronisku i zrezygnowała ze studiów.

Jak można pomóc?

Na pytanie o zgłaszanie procedury handlu ludźmi i wsparcia ofiar odpowiedział Bartłomiej Krzan, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego: – Są różne możliwości. Organy ścigania działają, ale zakładam, że bardzo dużą rolę mają do odegrania organizacje pozarządowe, np. La Strada (holenderska organizacja zwalczająca handel ludźmi i niewolnictwo) podejmuje bardzo ważne działania, czy szereg innych organizacji. Nie ma co ukrywać, że ten proceder jest trudno wykrywalny, również ofiary, osoby dotknięte, skrzywdzeni, nie czują się wystarczająco bezpieczne, żeby to zgłosić.

Natomiast Katarzyna Owsian-Słomińska, podinspektor Wielkopolskiej Policji opowiedziała o działaniach, które podejmuje policja w utrzymaniu świadomości procedury handlu ludźmi wśród społeczeństwa: – Mogę się wypowiedzieć za policję w Wielkopolsce. Policjanci prewencyjni jak i Wydział Kryminalny zaangażowani są w zwalczanie procedury

handlu ludźmi. My, jako policja prewencyjna, prowadzimy szerokie działania wśród lokalnej społeczności, rozpowszechniamy informacje w mediach społecznościowych, uczestniczymy w wydarzeniach, podczas których mówimy o tym procederze. Uświadamiamy młodych poprzez takie działania jak Escape Truck. W ramach wsparcia dla ofiar handlu ludźmi w Wielkopolsce jest wiele organizacji rządowych i samorządowych. Informację na ich temat można uzyskać na stronach organizacji oraz stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Współpraca polsko-holenderska

Escape Truck udostępniony został dzięki holenderskiej policji, w ramach międzynarodowej współpracy z Biurem Prewencji i Biurem Kryminalnym Komendy Głównej Policji. Twórcą projektu jest holenderska fundacja Reshape, natomiast współorganizatorami wydarzenia były Ambasada Królestwa Niderlandów w Polsce oraz Centrum Badań nad Handlem Ludźmi na Uniwersytecie Wrocławskim. Do współpracy w projekcie na poziomie regionalnym zaangażowała się Komenda Wojewódzka Policji w Poznaniu oraz Uniwersytet im. Adama Mickiewicza.

Escape Truckowi towarzyszyło Miasteczko Profilaktyczne. Jego celem było podnoszenie świadomości wśród społeczeństwa na temat handlu ludźmi. Funkcjonariusze Policji i Straży Granicznej udzielali informacji na temat zagrożeń, sposobów i mechanizmów działania przestępców oraz praw ofiar handlu ludźmi.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl

Redaktor miesiąca



Hej, jestem Wiktoria. W tym roku w BUCu zostałam szefową działu social media. Studiuję dziennikarstwo, jednak to media społecznościowe i marketing najbardziej mnie interesują, dlatego zdecydowałam się na specjalność marketing online. Uwielbiam działać kreatywnie, szczególnie tworzyć najróżniejsze grafiki i chciałabym dalej rozwijać się w tym obszarze.



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Agnieszka Łukaszewska
Sekretarz redakcji
Agnieszka Łukaszewska
Numer makietała
Izabela Tomaszewska

Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska
Redakcja merytoryczna:
Jakub Marciniak
Jędrzej Wróblewski
Amelia Ogrodowczyk
Filip Szymkowiak
PR i Social Media
Wiktoria Konieczna
Anastasiya Trafimuk
Natalia Borodkina

Weronika Grochańska
Wiktoria Wójkiewicz
Korekta
Paulina Cichoszewska
Wiktoria Duda
Izabela Tomaszewska
Wiktoria Wójkiewicz
Redakcja
Daria Bajorek
Natalia Borodkina

Bartosz Chałupka
Benita Dolniak
Karolina Gołaszewska
Weronika Grochańska
Karolina Hałabisi
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Wiktor Kępiński

Bartłomiej Kolano
Michał Kubisiak
Hanna Kułak
Kamil Kwiatkowski
Igor Listopad
Agnieszka Łukaszewska
Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluśki
Agata Mania
Jakub Marciniak

Mateusz Markiewicz
Olga Michalska
Aleksandra Mierzwa
Amelia Ogrodowczyk
Michał Rzeźnik
Wiktoria Sianko
Milena Spiralska
Vera Sudnik
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak

Filip Szymkowiak
Emilia Świtalska
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Anna Wielgocka
Jędrzej Wróblewski
Michał Wybrański
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

W dzisiejszym świecie informacje docierające do nas często nie zostają z nami na długo. Jednak wiadomość o odkryciu nowego utworu stworzonego przez kogoś, kto nie żyje od ponad dwustu lat, raczej zapamiętamy. Nieczęsto mamy możliwość usłyszenia, przeczytania lub zobaczenia czegoś, co zostało stworzone wieki temu, jako pierwsi. Tym razem jest inaczej – możemy posłuchać nieznanego dotąd utworu Mozarta. To bardzo fascynująca sytuacja, a podobne miały już miejsce w przeszłości.

Jak w ogóle dochodzi do tych odkryć? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Najczęściej tego typu znaleziska dzieją się w chwili badań archiwalnych. W katalogach lub spisach dzieł twórców są wyszczególnione utwory, o których istnieniu wiemy, lecz nie zostały one wydane bądź zaginęły. Wtedy prowadzone są prace polegające na szukaniu oryginalnych rękopisów. W trakcie takich poszukiwań można też natknąć się na wcześniej nieznaną twórczość.

Tak właśnie wydarzyło się w przypadku kompozycji „Ganz kleine Nachtmusik” autorstwa Wolfganga Mozarta. Podczas przeglądania archiwów Biblioteki Publicznej w Lipsku w celu stworzenia nowej edycji „Katalogu Köchla” pracownicy znaleźli nieznaną dotąd utwór.

Poza tym w pozyskaniu nowych dzieł nieżyjących twórców może pomóc ich rodzina. Często po śmierci, kiedy bliscy uporać się ze stratą, dzielą się ze światem twórczością zmarłego. Było tak z Sylią Plath. Po tragicznym odejściu kobiety w wyniku samobójstwa jej mąż Ted Hughes opublikował jej ostatnie wiersze w tomach poezji. Pozycje takie jak „Ariel” czy „Poezje zebrane” przyczyniły się do uznania Plath za jedną z najwybitniejszych poetek XX wieku.

Dźwięki przeszłości

Artyści zza grobu

Oczywiście najnowsze odkrycie utworu Mozarta i przykład Sylvii Plath nie są odosobnionymi przypadkami. Historia zna mnóstwo takich sytuacji. Dały nam one możliwość poznania przełomowej twórczości wielu artystów.

Jednym z najbardziej znanych jest Franz Kafka. Czeski pisarz został rozślawiony w znacznej mierze dzięki swojemu najbliższemu przyjacielowi Maxowi Brodowi. Ten nie posłuchał ostatniej woli Kafki, którą było spalenie jego dzieł po śmierci. Zamiast tego postanowił wydać niedokończone opowiadania przyjaciela. „Proces”, najbardziej znana powieść autora, był jednym z tych początkowo niewydanych utworów. Poza tym Brod opublikował także dzienniki sporządzone przez pisarza w trakcie jego życia. Franz Kafka jest jednym z najważniejszych twórców XX wieku i gdyby nie wiara jego przyjaciela w talent pisarza, prawdopodobnie nie byłby tak uznanym autorem.

Najciekawszym przypadkiem odkrycia artysty po latach zdecydowanie jest historia Johanna Vermeera. To holenderski malarz żyjący w XVII wieku w Delfcie. Za życia nie był zbyt rozchwytywany poza obrębem swojego miasta ani nie stworzył pokażnej liczby dzieł, więc po śmierci ludzie szybko o nim zapomnieli. Zmieniło się to dopiero dwieście lat później, kiedy francuski historyk sztuki, Joseph Théophile Thoré zainteresował się jego twórczością. Badając źródła i archiwa, poszukiwał dzieł Vermeera. On jako pierwszy stworzył katalog jego twórczości. Wtedy wyszło na jaw, ile obrazów Johanna przypisano innym malarzom holenderskim. Stało się tak, ponieważ trudno było określić autorów niektórych dzieł, a o nim mało kto pamiętał. Jego najbardziej znanymi pracami są „Mleczarka” i „Dziewczyna z perłą”.



Obraz „Mleczarka” – Johannes Vermeer

Mimo że takie odkrycia jak to, które miało miejsce niedawno, nie dzieją się często, to da się zauważyć, że mają one duże znaczenie. Dzięki temu mamy możliwość dialogu z przeszłością. Ale daje nam to też inne korzyści. Odnajdywanie tych dzieł chociażby poszerza zasoby naszej kultury, nie tylko przez dodanie do kolekcji nowych utworów. Poznanie innego, nieznanego wcześniej punktu widzenia kogoś z przeszłości może inspirować osoby żyjące w obecnych czasach do stworzenia nowej sztuki. Historia staje się impulsem do kreowania przyszłości. A jeśli ktoś nie interesuje się tematem w ogóle, to kiedyś będzie i tak mógł się pochwalić, że Mozart „wydał piosenkę” za jego życia.

Mateusz KALMUK
matka18@st.amu.edu

Nie jesteś sam

Obecny kryzys zdrowia psychicznego szczególnie uderza w młodzież oraz młodych dorosłych. Nie sposób nie zauważyć kolejnych tragedii związanych z coraz częściej diagnozowaną depresją i innymi zaburzeniami. Z interesującej perspektywy pokazuje to zjawisko rozpoczynający sezon spektakl poznańskiego Teatru Muzycznego „Drogi Evanie Hansenie”.

Spektakl autorstwa Stevena Levensona (libretto) oraz Benja Paska i Justina Paula (muzyka i teksty piosenek) miał swoją premierę w 2015 roku w Waszyngtonie. Szybko stał się popularny w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W 2021 roku doczekał się nawet filmowej adaptacji w reżyserii Stephena Chbosky’ego, w której wystąpiła między innymi Julianne Moore, a w głównej roli obsadzony został znany z oryginalnego przedstawienia Ben Platt. Na deski poznańskiego teatru musical trafił dzięki tłumaczeniom Lesława Halińskiego oraz Przemysława Kieliszewskiego.

Gdy brakuje słów

Fabula zaczyna się pierwszego dnia szkoły, do której po wakacjach powraca tytułowy bohater, Evan Hansen (Maciej Badurka). Jest on uczniem ostatniej klasy liceum. Ma fobię społeczną, przez co trudno mu nawiązać relacje z rówieśnikami. W ramach zadania od terapeuty Evan ma pisać listy do samego siebie, będące w zamierzeniu źródłem motywacji dla protagonisty. Jednak jeden z nich wpada w ręce Connora Murphy’ego (Bartosz Sołtysiak), który kilka dni później popełnia samobójstwo. Wiadomość została uznana za list samobójczy Connora, a Evan zostaje wzięty za jego najlepszego przyjaciela, mimo iż w rzeczywistości chłopcy nigdy się dobrze nie znali.

Główny bohater próbuje początkowo protestować, jednak próba sprostowania błędu go przerasta i zaczyna brnąć w kłamstwo, wspomagany przez jedynego bliskiego znajomego, „przyjaciela rodziny” Jareda Kleinmana (Maksymilian Pluto-Prądyński) oraz koleżankę Connora Alanę Beck (Aleksandra Daukszewicz). Niedługo potem współtworzą oni projekt mający upamiętnić Connora. Działania te przynoszą Evanowi rozgłos oraz pozwalają mu zbliżyć się do siostry Connora, w której się podkochuje, Zoe (Iga Klein) oraz państwa Murphy (Agnieszka Wawrzyniak i Radosław Elis). Odbija się to kosztem relacji z kochającą, ale zapracowaną matką Heidi (Katarzyna Tapek).

Jednak jak długo można żyć w kłamstwie, zanim prawda wyjdzie na jaw?

Jakość bijąca ze sceny

„Drogi Evanie Hansenie” to kolejny spektakl Teatru Muzycznego, który dowodzi wysokiej jakości oraz pietyzmu, z jakim traktowane jest każde przedstawienie na tutejszych deskach. Dzięki temu uwrażliwiający na drugiego człowieka oraz jego problemy przekaz wybrzmiewa z jeszcze większą mocą. Szczególnie ważne jest to, że spektakl został osadzony w świecie współczesnych nastolatków, determinowanym przez media społecznościowe. Znakomicie wypadły tłumaczenia piosenek, które wpasowują się w kontekst dzieła, nie wywołując uczucia sztuczności. Wrażenie robi także scenografia (Natalia Kitamikado) oraz projekcje (Karoliny Jacewicz i Mateusza Kokota) umacniające umieszczenie akcji w obszarze liceum i życia nastolatków.

Pochwalić trzeba też ukazanie bohaterów jako niejednorodnych postaci, z których każda walczy z osobistymi problemami i nie jest czarno-biała. Pod względem aktorskim nie można mówić o zawodzie. Maciej Badurka poradził sobie z Evaniem bardzo dobrze, pokazując zagubionego nastolatka mierzącego się z własnymi ograniczeniami oraz konsekwencjami swoich czynów. Na największy podziw zasługuje jednak Bartosz Sołtysiak, którego w roli Connora widzimy tylko w pierwszych scenach, po czym powraca już jako „zmyślony przyjaciel” Evana i zarazem jego sumienie, uświadamiające mu prawdę o jego zachowaniu. Podobnie na wyróżnienie zasłużył Maksymilian Pluto-Prądyński. Stworzył on Jareda żartownisia, który nie tylko podchodzi do świata z dystansem, ale także potrafi dogryźć i zaskoczyć niekiedy wulgarnym dowcipem. Bardzo dobrze wypadła również Iga Klein jako Zoe, pokazując, jaki naprawdę był Connor, oraz starając się zrozumieć Evana.

Nie sposób nie wspomnieć też o rodzicach Connora oraz matce Evana, którzy prezentują różne podejścia do rodzicielstwa – Radosław Elis jako zdystansowany ojciec, Agnieszka Wawrzyniak w roli matki dającej dużo wolności Connorowi oraz Katarzyna Tapek jako samotna matka, starająca się wiązać koniec z końcem spisali się znakomicie.

Wiadomość dla młodych

Według Centrum Psychoterapii „Pokonaj Lęk” niemal 30% młodych osób w Polsce ma podejrzenie depresji, a 4 na 10 uczniów myślało o podjęciu próby samobójczej, przy czym 8,8% badanych zadeklarowało, że taką próbę już podjęło. Do tego co 3 młody Polak / młoda Polka czuje się samotny/samotna.

„Drogi Evanie Hansenie” to ważny społecznie spektakl, poruszający temat wciąż żywego kryzysu zdrowia psychicznego



Evan Hansen (w środku, Maciej Badurka) często czuje się samotny i odrzucony przez innych. Teatr Muzyczny w Poznaniu

wśród młodych. Przedstawienie z udziałem uczniów Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej imienia Olgi Sławskiej-Lipczyńskiej w Poznaniu pokazuje, jak wiele może zmienić kontakt z drugim człowiekiem oraz jak ważne jest nie tylko bycie sobą, ale też umiejętność czytania między wierszami. Warto jednak, podobnie jak w przypadku innych musicali poznańskiego teatru, zobaczyć przedstawienie po raz drugi, by ocenić, jak wypadnie inna obsada, w której grają między innymi: Marcin Franc, Urszula Laudauska, Jakub Rayman czy Maciej Zaruski.

Za reżyserię odpowiada Paweł Szkotak, autorem choreografii jest Karol Drozd, a kierownictwo muzyczne objął Dariusz Tarczewski. Całość dopełniają kostiumy i scenografia Natalii Kitamikado oraz projekcje Karoliny Jacewicz i Mateusza Kokota.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl

Mordercy czy ofiary?

Pod koniec września świat zobaczył drugą część biograficznego, kryminalno-dramatycznego serialu „Potwory” opowiadającego historię braci Lyle’a i Erika Menendezów, którzy zabili swoich rodziców José i Kitty w 1989 roku. W pierwszy weekend serial zebrał dwanaście i pół miliona wyświetleń, ale liczba ta wciąż rośnie. W ciągu drugiego tygodniu po premierze projekt zwiększył swoją oglądalność o pięćdziesiąt procent. Skąd tak duży hałas wokół kolejnego serialu o mordercach?

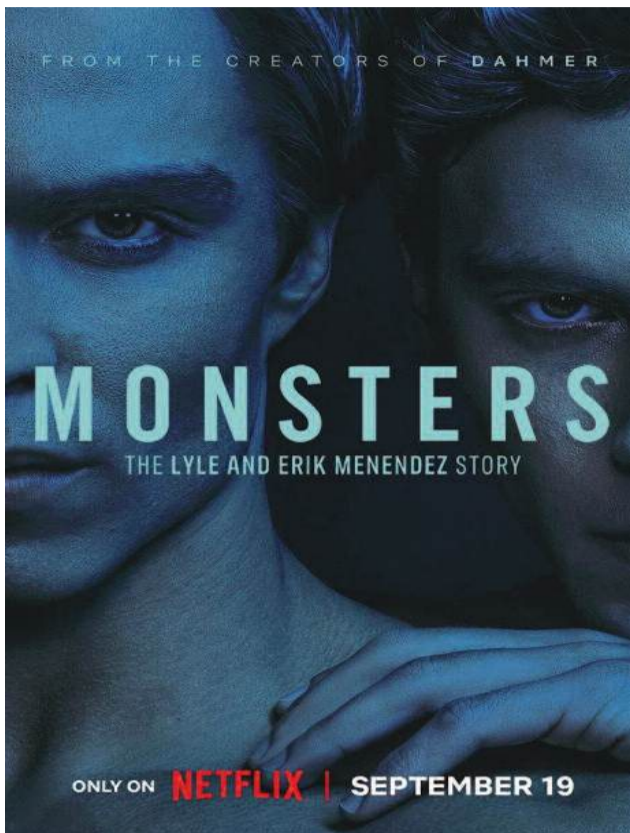
Koniec lat 80., Beverly Hills. Zalane słońcem palmy, limuzyna, dwaj przystojni młodzi mężczyźni w drogich, czarnych garniturach. Efektowna i błyskotliwa sceneria, pomiędzy którą rozgrywa się brutalne i krwawe morderstwo, to styl Ryana Murphy’ego. Reżyser jest znany z umieszczania swoich bohaterów w luksusowych warunkach, nadając im piękną otoczkę, by opowiedzieć przerażającą historię o potworach, które potrafią kryć się w ludziach. Bracia Menendez nie są wyjątkiem.

Druga fala popularności

W latach 90. sprawa braci Menendezów przykuła uwagę ludzi jako jeden z pierwszych procesów karnych transmitowanych w całości w telewizji kablowej. Erik i Lyle stali się sensacją medialną, fani pisali do nich listy, przesyłali prezenty oraz wyznania miłości. Później – w więzieniu – mężczyźni nawet pobrali się z kobietami, które były ich fankami.

W tym roku sytuacja okazała się podobna, serial był w stanie na nowo wzbudzić zainteresowanie dawno zapomnianą zbrodnią. Widzowie wspierają braci i składają kondolencje. Oświadczenie Kim Kardashian po spotkaniu z Erikiem i Lyle’em Menendezami jeszcze bardziej podsycało wszystkie rozmowy o tej sprawie. W artykule dla NBC News influencerka stwierdziła: „To nie są potwory. To dobrzy, inteligentni i uczciwi mężczyźni”. Być może nie był to jedyny powód, dla którego sąd zdecydował się na ponowne rozpatrzenie sprawy.

Krytycy natomiast nie podzielili masowego zachwyty, zarzucając Ryanowi Murphy’emu nadmierną seksualizację głównych bohaterów, która może odwracać uwagę od najważniejszej rzeczy – mówie-



Oficjalny plakat serialu

nia o tym, co normalne i moralne dla społeczeństwa. To też potrzeba odpowiedzi na pytanie: czy osoby, które się stały ofiarami przemocy i popełniły morderstwo, powinny być bohaterami popkultury?

Nie wszystko jest jednoznaczne

Choć gatunek serialu uznawany jest za biograficzny, nie należy go postrzegać jako całkowicie dokumentalnego. Scenariusz zawiera wiele artystycznych elementów, za pomocą których reżyser chciał przekazać główną myśl i wyjaśnić motywy działań Lyle’a i Erica. Reżyse-

rowi chodziło o psychologiczny aspekt tej sprawy. – W serialu bardziej interesuje nas rozmowa o tym, jak powstają potwory, niż o tym, jak się rodzą – powiedział Murphy w wywiadzie dla gazety „The Hollywood Reporter”. – Staramy się nie oceniać bohaterów za bardzo, bo staramy się zrozumieć, dlaczego zrobili to, co zrobili. Myślę, że widzów czeka prawdziwa kolejka górską, ponieważ każdy odcinek w pewnym stopniu zmienia perspektywę – wyjaśnił.

Wizja się zmienia przez to, że wydarzenia rozwijają się czasem w teraźniejszości, a czasem w przeszłości, pokazując, co dokładnie mogło doprowadzić do strasznego morderstwa. Z każdą zmianą perspektywy czasowej i ujawnieniem nowych faktów widz powątpiewa w swoje prawdziwe uczucia i nie wie, komu wierzyć – braciom Menendez, którzy twierdzą, że zabili swoich rodziców w obawie o własne życie, czy sądowi, który orzekł, że chłopcy zabili rodziców, aby odziedziczyć majątek po ojcu? Ten ciągły wewnętrzny moralny konflikt utrzymuje widza w napięciu przez cały serial, nie dając odpowiedzi na główne pytanie nawet na samym końcu.

Jak było w rzeczywistości?

W wielu wywiadach Ryan Murphy podkreśla, że starał się unikać bezpośredniego moralizowania i dać widzowi przestrzeń na własne wnioski, choć oglądając serial wyraźnie widać, że reżyser stoi po stronie braci, gdyż są oni przedstawiani jak ci, którym należy współczuć, natomiast Jose i Kitty Menendez wywołują obrzydzenie i strach.

Nie wszyscy jednak zajęli takie stanowisko. Jeden z braci, Erik Menendez, prosto z więzienia powiedział, że serial nie oddawał prawdziwej motywacji ich działań. Erik wyraził swoje rozczarowanie sposobem, w jaki Murphy i Netflix „ukształtowali swoją narrację”. Twierdził, że twórcy serialu zniekształcają historię, nie próbując ukazać braci jako ofiar przemocy domowej. W swojej wypowiedzi mężczyzna podkreślił, że serial skupiał się na brutalnych relacjach w rodzinie, podczas gdy prawdziwe okoliczności były znacznie bardziej skomplikowane.

Trudno powiedzieć, czy serial odniósł sukces, czy nie, ponieważ negatywnych opinii nie tylko ze strony krytyków, ale i widzów jest całkiem sporo. Internauci są przekonani, że serial wykorzystuje tragedię rodziny Menendezów. Rodzi to także pytanie o etykę – czy sprawiedliwe jest przekształcanie prawdziwych tragedii w programy rozrywkowe? Pomimo sprzecznych opinii serial zdecydowanie warto obejrzeć, aby każdy mógł wyrobić własne zdanie.

Natalia BORODKINA
natbor21@st.amu.edu.pl

Krótką historia strzelania do prezydentów USA

Abrahama Lincolna, Jamesa Garfielda, Williama McKinleya i Johna Kennedy’ego łączą przynajmniej dwie rzeczy. To byli prezydenci USA oraz głowy państwa zamordowane przez zamachowców. Lista prób pozbawienia życia najważniejszego światowego polityka na przestrzeni historii jest dość długa.

Zamachy na prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki to dość częsty element w krajobrazie politycznym. Próby zabójstwa zdarzały się tak samo prezydentom, jak i kandydatom na ten urząd.

Niewypały, etui i grube kartki

Andrew Jackson był pierwszym prezydentem w historii USA, który doświadczył zamachu na swoje życie. W 1835 roku nieudana próba zabójstwa skończyła się niewypałem z obu pistoletów przez niedoszłego mordercę – Richarda Lawrence’a. Siódmy prezydent USA obronił się laską. Na pomoc przyszli także inni. Zamachowiec twierdził, że jest królem Anglii – Ryszardem III.

W trakcie wyborów w 1912 roku były prezydent Theodore Roosevelt, podczas wystąpienia na jednym z wieców, został postrzelony przez Johna Schranka. Szczęśliwie kula przebiła jego stalowe etui na okulary oraz 50-stronicowy plik kartek z kopią przemówienia. Raniony Roosevelt postanowił dokończyć mowę, po czym skorzystał z pomocy medycznej. Polityk nosił kulę w klatce piersiowej do końca życia.

Nieudane zamachy przeprowadzono także na Henry’ego Forda oraz Ronalda Reagana. Do pierwszego strzelały kobiety, Lynette Fromme oraz Sarah Moore – obie chybiły. Drugi został postrzelony przez Johna Hinckleya na początku swojej kadencji. Kula przebiła płuco, omijając serce oraz raniąc inne osoby.

Zamordować próbowano także Georga Bush’a Juniora (2005) i Baracka Obamę (2008).

Najbardziej zagrażający życiu zamach na prezydenta miał jednak miejsce w tym roku, 13 lipca. Zdjęcie, na którym zakrwawiony Donald Trump – raniony w ucho, podnosi rękę, trzymany przez agentów Secret Service – może być pokazywane w przyszłych pod-

ręcznikach do historii. Niestety w próbie zabójstwa byłego i kandydującego na urząd prezydenta życie straciła jedna osoba, a dwie zostały ranne. We wrześniu doszło również do kolejnego zamachu na Trumpa. Na polu golfowym agencji Secret Service zauważyli lufę wystającą z ogrodzenia, po czym oddano kilka strzałów. Napastnikami w zamachach kolejno byli 21-letni Thomas Matthew Crooks oraz 58-letni Ryan Wesley Routh. Obama kierowały motywy polityczne.

Anarchizm, marksizm, niespełnione ambicje

Niestety cztery zamachy na prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki okazały się skuteczne. Listę otwiera szeroko znany w kulturze atak na Abrahama Lincolna podczas przedstawienia teatralnego. Zamordował go strzałem w tył głowy John Wilkes Booth – zwolennik Południa (strony przegranej w wojnie secesyjnej). Prezydent zmarł pomimo udzielonej mu pomocy medycznej. Zabójcę zastrzelono dwanaście dni później, gdy odmówił poddania się.

Po krótkiej prezydenturze, zaledwie sześć miesięcy od zaprzysiężenia, ofiarą zamachowca stał się James Garfield. Oddając dwa strzały w ramię i plecy na dworcu kolejowym, zamordował go Charles Guiteau. Uważał on, że w dużym stopniu przyczynił się do zwycięstwa prezydenta w wyborach, nic nie otrzymując za swoje zasługi. Zabójcę powieszono.

W zamachach na prezydentów można znaleźć polski akcent, ponieważ sprawcą kolejnego (trzeciego) udanego zamachu był Amerykanin polskiego pochodzenia – Leon Czolgosz. Zamordował on prezydenta Williama McKinleya. Mężczyzna strzelał do polityka z rewolweru z bliskiej odległości podczas przemówienia w Nowym Jorku. Oczekiwano, że głowa państwa wróci do zdrowia, jednak po pewnym czasie w ranę postrzałową wdała się gangrena i prezydent zmarł. Czolgosz, będąc anarchista, tłumaczył, iż zabił McKinleya, ponieważ był on „wrogiem prawych ludzi – prawych robotników”. Zamachowca stracono na krześle elektrycznym.

Do jednego z najbardziej znanych i spektakularnych zabójstw politycznych doszło 22 listopada 1963 roku w Dallas, kiedy marksista Lee Harvey Oswald postrzelił prezydenta Johna Kennedy’ego



Rysunek przedstawiający zabójstwo prezydenta McKinleya

w szyję oraz głowę. W związku z zamachem w ciągu lat narodziło się wiele teorii spiskowych dotyczących rzeczywistych powodów zabójstwa polityka. Śmierć prezydenta łączono z Kubą Fidelą Castro, Związkiem Radzieckim, mafią czy amerykańskimi wojskowymi. Oswald nie przyznawał się do morderstwa. Uważał, że jest kozłem ofiarnym, tylko dlatego że przyleciał z ZSRR. Dwa dni po aresztowaniu zabójca został zastrzelony przez Jacka Ruby’ego, gangstera i właściciela klubu nocnego.

Ofiarami zamachów stawali się także kandydaci ubiegający się o urząd prezydenta. Młodszy brat Kennedy’ego, Robert, po otrzymaniu nominacji został zastrzelony przez Palestyńczyka Sirhana Sirhana. Powodem było poparcie polityka dla Izraela.

Niedawno na YouTube’ie ukazał się film kanału „Nie wiem, ale się dowiem” zatytułowany „Najniebezpieczniejszy zawód świata”. Czy za cenę władzy, prestiżu i miejsca w historii można narażać na ryzyko własne życie i zdrowie? Można. Władza uzależnia.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl

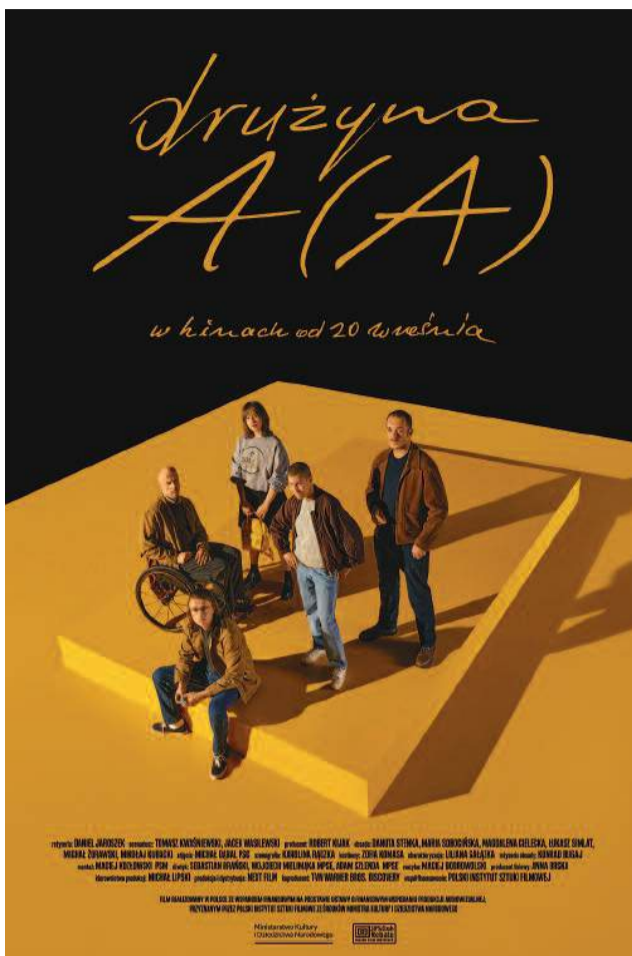
Igrając z losem

Nieoficjalnym motywem przewodnim filmu Daniela Jaroszka jest cytat z Boskiej komedii o: „Porzucicie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”. Odpychający, trudny, satyryczny, śmieszny. Przekrój wszystkich słabości i uległości, które mają nikły dostęp do światła. Całość jednoczy się w trakcie terapii.

Kino przesycone jest kontekstami. Jedyna deska ratunku dla twórców to koncepcja. Przedstawienie swojej wizji, ugryzienie problemu od szczególnej strony, wypracowanie charakterystycznej estetyki – to siła reżyserów, którym niełatwo jest zaistnieć i utrzymać się w dobie nadmiaru. Demony uzależnienia zostały wykorzystane jako główny motyw wielu filmów. Wystarczy przytoczyć takie produkcje jak: „Trainspotting”, „Wszyscy jesteśmy Chrystusami”, „Requiem dla snu” czy „Pętla”. „Drużyna A(A)” ma ambicję zostania tytułem włączonym do tego grona. Czy słusznie?

W kraju bez uśmiechu

Niełatwo jest uciec od kultury, w której się dorastało. Od małości wciely rodzimej literatury karmią młode głowy umiłowaniami patosu i martyrologią. Śmiertelna powaga jest widmem depczącym po piętach. To ona dyktuje percepcję rzeczywistości Polaków. Najłatwiejszą drogą jest przyjęcie zastanego porządku. Opór jest wymagający. Szczególnie, gdy w grę wchodzi temat dotyczący znacznej części społeczeństwa. Alkoholizm, kłopoty finansowe, traumatyczne przeżycia, nałogi, dramaty rodzinne – o tym można mówić tylko ze łzami w



Plakat filmu

oczach. Przynajmniej tak wypada. Co jeśli można inaczej? Jak? Na te pytania odpowiada poprzez swoje dzieło reżyser filmu. Fabuła isticie groteskowa – grupa nałogowców porwuje ciężarówkę przewożącą spirytus, by uratować ośrodek terapeutyczny. Świeża perspektywa, głupkowaty pomysł, wyraźnie zarysowany kontrast – w sumie plan złożony z niezłych składowych. Komizm góruje. Choć przedstawione żarty nie ustawiają poprzeczki wysoko, należy przyznać twórcy parę punktów za odwagę.

Nietrudno być na bakier

Małe decyzje potrafią mieć wielkie w skutkach konsekwencje. Dowie się o tym każdy, kto poznał: załknionego narkomana – Dominika, alkoholicką ze skłonnościami do przemocy i autodestrukcji – Wiołę, zbankrutowanego hazardzistę – Leszka, wrażliwą i bystrą seksologiczkę – Karolinę oraz Wojtka, czyli człowieka prowadzącego terapię, po tym, jak sam przyczynił się do utraty własnej rodziny. Jak na ironię, jest to jedyny z wymienionych bohaterów, który w trakcie 131-minutowego seansu nie pokonał głosu uzależnienia. Motywacja każdego do ulegania wyrasta z innego gruntu. Ma inny smak, inną historię, nosi inne emocje w sobie. Najważniejsza jest uniwersalność przesłania. Każdy może wpaść w szpony nałogu. Wszyscy, co do jednego, mają przyzwolenie na słabość. To nierówna walka, do której nie staje każdy potrzebujący pomocy. To siłowanie się z olbrzymim potworem. Grunt to próbować z całych sił.

Dwie godziny w kinie nie zostały spisane na straty. Film natomiast nie zasługuje na ocenę A+. Niewykorzystany potencjał i przejawienie gry aktorskiej plasują go na półce średniaków. Może to jednak napłynięcie nowej fali? Skierowanie się ku innym wzorcom? Wielki plus za próbę. Ostatecznie to widz zadecyduje, czy fragment z „Boskiej komedii” przypisze filmowi czy widzowi.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Podróżowanie na studenckim budżecie

Podróżowanie za niewielkie pieniądze to marzenie wielu studentów, a nasza rozmówczyni – absolwentka turystyki i rekreacji – udowadnia, że jest to możliwe. W ramach swojej pracy dyplomowej badała turystykę w malowniczej Krainie Wygastych Wulkanów, a podczas studiów udało jej się zwiedzić nie tylko Polskę, zdobywając między innymi Szrenicę i Śnieżkę, ale także Niemcy, Czechy, Hiszpanię, Włochy, Węgry, Anglię i Szkocję. Obecnie pracuje w hotelarstwie, co pozwala jej na jeszcze lepsze zrozumienie branży turystycznej. Jak łączyć pasję do podróżowania z ograniczonym budżetem? Na to pytanie odpowie Wiktoria Matjasz.

Podróżowanie na studenckim budżecie to sztuka, która wymaga nie tylko sprytu, ale również otwartości na nowe doświadczenia. Dla wielu studentów ograniczone środki finansowe wcale nie muszą oznaczać rezygnacji z odkrywania świata. Wręcz przeciwnie – często to właśnie brak dużych funduszy mobilizuje do bardziej kreatywnego podejścia do podróży. Wielu studentów wybiera również podróże poza sezonem, kiedy ceny są znacznie niższe, a miejsca turystyczne mniej zatłoczone. Dzięki temu nie tylko oszczędzają, ale także mają szansę doświadczyć lokalnej kultury w bardziej autentyczny sposób.

Jak połączyć studencki budżet z wyjazdami za granicę?

Planowanie podróży na ograniczonym budżecie wcale nie musi być takie straszne, jak się wydaje. Ludzie w dzisiejszych czasach mają ogromne możliwości podróżnicze, oferta turystyczna jest coraz szersza i różnorodniejsza, jak również gotowa na kompromisy. Najważniejsze przy wyjazdach budżetowych są planowanie i research. Dobra analiza miejsca, do którego zamierzamy się udać, pomoże uniknąć niepotrzebnych kosztów, na które często łapią się turyści. Dla studentów pracujących sprawdza się na pewno zasada trzech miesięcy – pierwszego miesiąca planowania podróży kupujemy bilety lotnicze, drugiego noclegi, a trzeciego – odkładamy kwotę, którą przeznaczymy na jedzenie, atrakcje i inne wydatki już na miejscu. W ten sposób czwartego miesiąca jesteś na wakacjach, w skali roku wychodzą w ten sposób już cztery kilkudniowe wyjazdy. Jeżeli chodzi o tanie loty, to w internecie i na blogach podróżniczych jest masa poradników, które uczą, jak je kupować. Szukajcie lotów w trybie incognito, żeby przewoźnik nie podbijał wam cen, kupujcie je z wyprzedzeniem i starajcie się być elastyczni co do celu podróży. Po co na siłę szukać i wydawać ostatecznie sześćset złotych na lot do Barcelony w czerwcu, skoro lot do równie ciekawego miejsca może oka-

zać się o ponad połowę tańszy? Poświęćcie to pół godziny i przeklikajcie sobie lotniska najlepiej późną porą we wtorki i środy. Tanie podróżowanie uczy trochę obniżania swoich standardów, co po czasie widać po wybranych miejscach noclegowych. Na pewno na kilkudniowym budżetowym wyjeździe nie jest wam potrzebny nocleg w Hiltonie – pamiętajcie, że pojechaliście do danego kraju, a nie do hotelu. Nie warto tracić na niego tysięcy, skoro jego jedynym zadaniem jest zapewnić wam łóżko do spania, ciepłą wodę i bezpieczeństwo. Tania baza noclegowa na przestrzeni lat bardzo się rozwinęła. Poprawił się stan i jakość usługi świadczonej między innymi przez takie miejsca jak hostele oraz rozbudowała się sieć noclegów typu Airbnb, gdzie można dorwać atrakcyjne cenowo oferty. W przypadku, kiedy podróżujecie z kimś, ze swojej strony polecam próbować couchsurfingu. Za pomocą specjalnej platformy, która zrzesza miłośników podróży, możecie znaleźć sobie darmowy nocleg u miejscowych, którzy często równie chętnie dadzą wam wskazówki co do zwiedzania już na miejscu, a nawet pojadą z wami. Couchsurfing jest pewnego rodzaju wymianą kulturową. Warto spróbować chociaż raz takiej formy noclegu. To ciekawe przeżycie i zarazem oszczędność – całkowicie odchodzi koszt nocowania. Zanim zarezerwujecie nocleg przez Booking, zadzwońcie najpierw bezpośrednio do miejsca noclegowego. Często cena może okazać się niższa niż przez pośrednika, który dolicza dodatkowo prowizję do całkowitej kwoty.

Jakie są twoje sposoby na oszczędzanie podczas podróży?

Łatwo oszczędzić na jedzeniu. Nie spodziewajcie się dobrych cen w restauracjach, które znajdują się przy większych atrakcjach turystycznych. Oni są tam po to, żeby zdzierać z turystów. Im dalej odejdziecie, tym korzystniej dla was – im dalej od centrum, tym autentyczniejsza kuchnia. Nie jest również żadną ujmą mieć ze sobą swoje jedzenie, chociaż na pierwszy dzień lub zrobić zakupy w miejscowym markecie – to również jest spotkanie z inną kulturą. Raczej darujcie sobie Ubera i taksówki, od przemieszania się jest komunikacja miejska. Dokładnie sprawdźcie, jak i gdzie kupować bilety oraz w jaki sposób je później odbijać. Nie zawsze jest to oczywiste, a podróżowanie z mandatem jest już zdecydowanie mniej budżetowe.

Czy są kraje, które szczególnie polecasz studentom?

Zdecydowanie polecam Węgry. Są naprawdę korzystne cenowo, a przy tym piękne i mam wrażenie, że poza Budapesztem nadal nieodkryte przez turystów. Jezioro Balaton z Tihani, Tokaj, Szentendre to miejsca, które naprawdę warto odwiedzić. Budapeszt jest też dobrze skomunikowany z najbliższymi miastami. Generalnie podróże po Węgrzech to te, które najlepiej wspominamy. Jest to po prostu przyjemny kraj. Korzystnie wychodzą również podróże na



Wiktoria na Baszcie Rybackiej w Budapeszcie

Balkany i do Włoch. Nie można zapomnieć o wycieczkach po Polsce – Kaszuby, Mazury, Karkonosze, Izery, Tatry mogą sprawić tak samo ogromną przyjemność jak wyjazd za granicę. Spróbujcie być w Tatrach i się nie zachwycić – praktycznie się nie da.

Jak myślisz, w jakim kierunku rozwija się turystyka studencka, jakie zmiany zaobserwowałaś na przestrzeni lat?

Mam wrażenie, że kiedyś wyjeżdżało się raz a porządnie. Plecak na plecy i wyjazd na co najmniej kilkanaście dni. Dzisiaj raczej studenckie podróżowanie zdominował city break. Studenci coraz częściej i świadomiej stawiają na turystykę aktywną – jeżdżą w góry, gdzie oprócz klasycznego trekkingu próbują ferrat czy wybierają mniej lub bardziej wymagające spływy kajakowe. Jak by nie patrzeć, podróżowanie dla osób w wieku studenckim jest najłatwiejsze. Głównie przez dostęp i znajomość technologii. Dodatkowo studenci raczej nie są fanami wakacji typu all inclusive – chcą autentyczności.

rozmawiała Benita DOLNIAK
bendol@st.amu.edu.pl

Czy Dorota Masłowska może być jeszcze bardziej Masłowska oraz czy warto robić coś „dla fabuły”? Rozważania nad językiem, w którym można się zatracić oraz nad tym, który tracimy na rzecz trendów z TikToka. Rany – te magiczne i te zupełnie zwyczajne, na przykład po nieprzemyślanym tatuażu – to nie tylko motyw przewodni najnowszej książki Doroty Masłowskiej, ale i punkt wyjścia do dyskusji nad kondycją psychiczną współczesnego człowieka.

O najnowszej książce Doroty Masłowskiej zrobiło się w kraju bardzo głośno, a poznańskie środowisko literackie nie pozostało w tej kwestii wyjątkiem. „Magiczna rana”, jak na jej autorkę przystało, już od początku przysparzała pewne problemy klasyfikacyjne tym, którym na takim porządku zależy. Można ją czytać jako zbiór opowiadań lub powieść, a pewnie znalazłoby się jeszcze kilka innych sposobów na to, w jaki sposób na tę lekturę spojrzeć. „Dobieranie się do niej”, sądząc po opiniach zamieszczanych na popularnych portalach czytelniczych, jest zresztą dość trafnym określeniem, bowiem opowieści bohaterów „Magicznej rany” się po prostu konsumuje czy wręcz pochłania. Niepowtarzalny język pisarki sprawia, że apetyt rośnie w miarę czytania i gdyby książka była talerzem, miłośnicy warsztatu Masłowskiej dosłownie wylizaliby go na koniec.

Realizm niemagiczny

O co tyle szumu? O niezwykle precyzyjne odwzorowanie rozmaitych sytuacji życiowych ludzi, których, mimo że są opisani w nierzadko absurdalnych okolicznościach, każdy zna osobiście lub przynajmniej choć raz się na nich natknął na ulicy, w serialu, na Instagramie, w sklepie, na siłowni czy w kawiarni. Autorka niezwykle wnikliwie obserwuje współczesne społeczeństwo, aby później metodą jeden do jednego przełożyć na dialogi swoich bohaterów słowa, które słyszymy codziennie na ulicy bądź czytamy w postach na portalach społecznościowych. Jest to zresztą zjawisko o tyle wyjątkowe, że z jednej strony czytelnik zdaje sobie sprawę z przerysowania bohaterów i groteskowości ich przygód, a z drugiej to wyolbrzymienie jest brutalnie wiarygodne. Pobrzmiwa ono zresztą z każdej z błyskotliwie opowiedzianych historii i, mimo że czytając człowiek zaśmiewa się do łez, to w istocie wie, że humor jest tylko sposobem radzenia sobie z okrutną rzeczywistością.

Wydawać by się mogło, że jeśli chodzi o korzyści płynące z „Magicznej rany”, to na języku, przezabawnej ironii i błyskotliwych obserwacjach koniec, jednak spotkanie autorskie, które niedawno odbyło się w Poznaniu, zdawało się prowadzić do innych, nieco bardziej optymistycznych wniosków.

Spotkanie autorskie

Ze sprawczynią całego zamieszania 17 września w Centrum Kultury Zamek rozmawiał profesor UAM Marcin Jaworski z

Masłowska na językach



Spotkanie autorskie z Dorotą Masłowską w CK Zamek

Zakładu Poetyki i Krytyki Literackiej. Naturalnie, mówiąc o najnowszej publikacji pisarki, nawiązywali do pierwszej, sławnej i zarazem znieślawionej „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną”. Autorka przyznała, że kiedy ponad dwie dekady temu pisała tę książkę, na głównego narratora wybrała mężczyznę, aby przebić się w ówczesnym salonie literackim. Teraz, jak sama przyznała, nie musiała już tego robić i chętnie dała głos także bohaterkom. Wciąż jest zresztą bardzo specyficzny, niczym gąbka przesiąknięty utartymi współcześnie frazami, które cisną im się na usta, chociaż tak naprawdę nie opisują ich rzeczywistości. Tworzą natomiast pewną bankę językową, w której mieszczą się wszystkie modne słowa i anglicyzmy, każdy trend z TikToka oraz diagnozy samozwańczonej internetowej specjalistów we wszystkich możliwych dziedzinach – od kinematografii, przez choćby dermatologię czy socjologię, po psychiatrię. Nie ma tam natomiast miejsca na autentyczność i nazywanie tego, co się nam przytrafia własnymi słowami, a jak podczas spotkania Dorota Masłowska wspominała: „Nie posiadając własnego języka, nie posiadają siebie i własnego życia”. To zdanie, choć mogłoby wydawać się oczywiste, wcisnęło część uczestników w fotele. Ze strony publiczności padło stwierdzenie, że utarło się już przekonanie, jakoby Masłowską czytało się jedynie dla języka. Jednak jakże modne ostatnimi czasy wyrażenie „dla fabuły”, szczególnie przy „Magicznej ranie” nabiera nowego znaczenia.

Język pozwala nazwać, opisać, wyśmiać, przerysować i utożsamiać się czytelnikom z bohaterami. A fabuła? Ona wskazuje na to, co warte uwagi: problemy i zwycięstwa bohaterów i bohaterki, ich walkę, rozterki, błędy, wielkie oczekiwania i rozczarowania, wresz-

cie – ich niezagojone rany. Jest coś jeszcze, na co zwrócił uwagę nie tylko profesor Jaworski czy sama autorka, ale i ci, którzy przeczytali tę książkę i znaleźli w niej to, czego najbardziej brakuje im obecnie w rzeczywistości zdominowanej przez podającą w wątpliwość naszą użyteczność sztuczną inteligencję, szydzące z naszej przewidywalności algorytmy i wysysającą nasze dusze hiperkonsumpcje. Mianowicie, chodzi o nadzieję. Istnieją bowiem takie rany, które być może nigdy nie ulegną zagojeniu, ale ich obecność niepozwalająca zapomnieć, skąd przyszliśmy, nieustannie przypomina także, dokąd idziemy.

Jako osoba, która spija z papieru niemal każde słowo przez Masłowską napisane, opisującą pozycję polecam szczególnie. Dlaczego? Po pierwsze, bo będziecie się z nią dobrze bawić, momentami przylapiecie się na głośnym śmiechu, kiedy któryś z jej bohaterów do złudzenia będzie przypominał wam bliską osobę. Po drugie, bo autorka zostawiła czytelnikom różne smaczki, które wiążą jedno opowiadanie z drugim, podając nam nitki, po których możemy próbować dojść do kłębka, choć nie jest to zadanie należące do najprostszych. Po trzecie, dla stylu. Mistrzowski, nie do podrobienia, niezwykle wymagający, stanowiący intelektualne wyzwanie i stawiający wszystkie nasze szare komórki na baczność to tylko część sposobów na jego opisanie. W końcu, po to tylko, żeby móc się z powyższym nie zgodzić i mieć własne w tej kwestii zdanie. Do tego – trzeba jednak najpierw spróbować się zmierzyć: z tekstem, z raną i – co chyba najtrudniejsze – z karykaturą wszystkiego, co o sobie myślimy i jak chcemy, by myśleli o nas inni.

Joanna DĄBROWSKA
joadab6@st.amu.edu.pl

„Donald Trump może pójść pod prąd”

W środowisku publicystów uchodzi za eksperta w dziedzinie relacji międzynarodowych i wojskowości. Niecały rok temu miała miejsce premiera jego książki „Polska na wojnie”, w której w interesujący sposób przedstawił opinii publicznej nieznanne fakty o relacjach dyplomatycznych pomiędzy Polską a Ukrainą. Mowa o Zbigniewie Parafinowiczu, dziennikarzu „Dziennika Gazety Prawnej”, a także „ojcu chrzestnym” tytułu „BUC”.

W połowie września w Kijowie doszło do spotkania Prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego z szefem Polskiego MSZ – Radosławem Sikorskim, które według relacji mediów przebiegało w nerwowej atmosferze. Zełenski miał wyrażać pretensje wobec Polski, że nie wspiera Ukrainy wystarczająco w rozmowach akcesyjnych do UE. Tych napięć pomiędzy naszymi państwami w ostatnim czasie jest dużo więcej. Co poszło nie tak? Czy byliśmy zbyt naiwni wobec Ukrainy?

– Przede wszystkim, te relacje były częściej napięte niż harmonijne. Te okresy karnawału bywały dość krótkie i rzadkie – zazwyczaj następowały po jakiś przelomach. Najdłuższy okres karnawału miał miejsce po wybuchu wojny w lutym 2022 roku i trwał mniej więcej do lata, czyli do momentu, kiedy Zełenski stwierdził, że jest Mahatmą Ghandim i „odleciał”. Zrozumiał, na arenie międzynarodowej „dystrybuując prestiż” i w związku z tym, że nie musi

specjalnie inwestować w relacje z „sąsiadem drugorzędym”, za jakiego uznawał Polskę. Wracając do spotkania – tak było – rzeczywistość doszła do napięć, bo Sikorski dał jasno do zrozumienia, że zestawi na równi rozmowy i negocjacje akcesyjne z kwestiami eks-humacji. Najwyższy czas, żeby zacząć rozmawiać transakcyjnie w tej sprawie. Wydaje mi się, że nadanie tym relacjom właśnie takiego charakteru może te kryzysy skierować na racjonalne tory. Polska doskonale rozumie, że nie ma powrotu do inwestowania w relacje z Ukrainą bez oczekiwania czegoś w zamian, ale chyba nie do końca rozumie to jeszcze strona ukraińska.

Co może się wydarzyć, żeby obie strony doszły do porozumienia, czy „piłka” jest teraz po stronie ukraińskiej? Uważa Pan, że pomysł Radosława Sikorskiego, by powiązać wsparcie z akcesją do UE to dobre rozwiązanie? Powinniśmy być bardziej asertywni?

Tak, pomysł pakietowania jest dobry, bo im więcej asertywności, tym lepiej. Ukraińcy powinni ustąpić. I tyle. To Polska jest w klubie euroatlantyckim, w Unii Europejskiej i w NATO i to Polska ma silniejszą pozycję. Byłoby dobrze, gdyby Zełenski zrozumiał, że ma po drugiej stronie wymagającego partnera, wobec którego również należy czasem ustąpić czy wykonać jakiś gest. Powrót do przeszłości jest niemożliwy i nie będzie żadnego kroku naprzód, jeśli strona ukraińska tego nie zrozumie.

Pozostaniemy jeszcze przy temacie Ministra Spraw Zagranicznych – Radosława Sikorskiego. W zeszłym miesiącu padł on ofiarą rosyjskich pranksterów w rozmowie tele-

fonicznej. Dlaczego ta sytuacja powtarza się u naszych elit po raz kolejny? Jak ocenia Pan postawę Sikorskiego w tej rozmowie?

– Kontekst tej rozmowy był bardzo specyficzny, podobnie jak wkręcenie parę lat temu Prezydenta Andrzeja Dudy na „falszywego Macrona”, bo to był dzień, kiedy rzeczywistość trwały próby nawiązania kontaktu przez Prezydenta Polski z prawdziwym Macronem i Rosjanie dobrze wbili się w czas. Z Sikorskim było trochę inaczej, ale też zastosowano pewne „wymyki”, żeby go sprowokować do tego, aby się z Poroszenką połączył. Tam podobno były wcześniej jakieś telefony z użyciem AI, które sugerowały, że dzwoni jakiś współpracownik Poroszenki, który nalega na ten kontakt. Co do zasady – Sikorski nie zdradził w tej rozmowie żadnych tajemnic. W sposób racjonalny mówił, jak wygląda stosunek państwa polskiego do relacji z Ukrainą. To było sensowne, wyważone i dość mądre, ale to, co obciąża Sikorskiego w tej rozmowie, to spekulacje z tym domniemanym „Poroszenką” na temat polskiego Prezydenta. Sytuacja, w której polski MSZ spekuluje w takiej rozmowie, dlaczego Prezydent Duda porusza temat programu Nuclear Sharing absolutnie nie powinna mieć miejsca. Szef polskiego MSZ nie może w takich rozmowach wchodzić w rolę „publicysty”, który recenzuje głowę państwa. Takie rozszczelnienie systemu, gdzie można szefa polskiej dyplomacji rozegrać, jest bardzo niekorzystne dla państwa.

A jak wygląda obecnie sytuacja na Ukrainie, czy można na ten moment powiedzieć, że wojna przechyla się na korzyść Rosji? Kto na ten moment jest faworytem?

– Żadna strona nie realizuje swoich celów strategicznych w tej wojnie, co może być przesłanką, że ta wojna jeszcze trochę potrwa. Ani Rosja, ani Ukraina nie osiągnęły tego, co chcą osiągnąć. Ukraińcy zadali cios Rosji w postaci zajęcia kilku powiatów na terenie Ob-

Sezon teatralny rozpoczął się ze staropolskim przytupem – na nie jednej poznańskiej scenie, lecz aż dwóch: Teatru Wielkiego oraz Teatru Polskiego. Obie instytucje połączyły siły, aby w trakcie drugiej edycji Festiwalu Moniuszki, organizowanego przez operę, zrobić coś wspólnie. Kolektywność natomiast wiąże się wręcz samoistnie z moniuszkowską wizją, co ukazywały spektakle grane w przeciągu minionego miesiąca: „Flis” oraz „Jawnuta”.

W dniach 6-19 października 2023 roku odbyła się pierwsza edycja Festiwalu Moniuszki skorelowana z powrotem do gmachu pod pegazem po ponad dwóch latach remontów. Wydarzenie podkreśliło istotną rolę instytucji, która wystawiała dzieła patrona w Teatrze Wielkim w kluczowych chwilach dla narodu. Kolejna edycja jedynie uwydatniła doniosłość przedsięwzięcia. Wystawiono niegraną przez wiele lat jednoaktową operę polskiego kompozytora oraz piękne, aktywistyczne wręcz przedstawienie, które w ubiegłym roku wygrało międzynarodową nagrodę o szczególnej randze – statuetkę za najlepsze dzieło odkryte na nowo na International Opera Awards, zwanych powszechnie operowymi Oscarami.

Ten zegar stary, co działa wstecz

Moniuszkę najczęściej kojarzy się ze „Strasznym dworem” i „Halką”. Co jednak oprócz tego? Na przekór zapomnieniu podczas tegorocznego festiwalu wszedł do repertuaru „Flis”, który był wystawiany na deskach Teatru Wielkiego w Poznaniu trzy razy, z czego ostatni raz w 1997 roku. Natomiast „Jawnuta” premierę nowej inscenizacji miała po raz pierwszy w... 2022 roku! Przypomnienie dzieł polskiego kompozytora wydaje się szczególnie istotne ze względu na ich wartość dla utrwalania wiedzy o kulturze minionych wieków i ogromną wrażliwość społeczną na dzieła Moniuszki.

Sentymentalny portret konfliktu romantycznego między frycykiem Jakubem a jego bratem, flisakiem Frankiem, spleciony został z lirycznych arii wzorowanych na modlitwach ludowych oraz wiejskich, sielskich pieśniach. Charakterystyczny dla swoich czasów schemat fabularny i problematyka wyróżniają się na tle innych ówczesnych dzieł wyjątkową intencją programową. Zdzisław Jachimecki w swojej pracy poświęconej Moniuszce zwraca uwagę na fakt, iż chór flisaków miał swym śpiewem w sposób ilustracyjny oddać charakter żegluga, dźwięczne kołysanie wody.

„Jawnuta” wydaje się dziełem szczególnym ze względu na ukazanie problematyki wyłączenia Romów, dyskryminacji tej grupy społecznej za czasów życia kompozytora. Piękna historia o miłości, którą zniszczyły umowne podziały społeczności. Okrutny konflikt między grupami etnicznymi stanowią kanwę dla roz-

wodu Kurskiego i zbudowania tam czegoś na wzór republiki separatystycznej zarządzanej przez wojsko. To jest ogromna ujma na honorze dla Putina, który po prostu pozwolił na wtargnięcie na konstytucyjne terytorium Federacji Rosyjskiej i jeżeli Ukraińcy je utrzymają, to będzie to ich ogromny argument w przyszłych rozmowach z Rosjanami o rozejmie, bo w trwałą pokój raczej nie wierzę.

Ofensywa Ukrainy na terenie Rosji to przemyślana strategia, czy raczej próba odciążenia uwagi od braku postępu na froncie na własnym terytorium?

– Jedno i drugie. Z jednej strony Ukraińcom rzeczywiście sypie się front wokół Pokrowska, w który Rosjanie bardzo inwestują. To bardzo ważne miejsce z punktu widzenia mapy i to na pewno miało odwrócić uwagę od tego co się tam dzieje, natomiast nie tylko. Rozbudowanie zamrożonego konfliktu na terenie Federacji Rosyjskiej, to jest odwrócenie logiki Dimitrija Kozaka, który jest twórcą koncepcji zamrożonych konfliktów. Ukraińskie dowództwo doskonale wie, jakie korzyści może czerpać ze zbudowania republik separatystycznych i będzie chciało jak najbardziej wyeksploatować te korzyści.

Wobec tego – co może być „game changerem” tego konfliktu? Czy może to być na przykład wybór nowego Prezydenta w Stanach Zjednoczonych? Jak sytuacja na froncie może się zmienić, gdy Prezydentem USA ponownie zostanie Donald Trump?

– Największym problemem Trumpa jest jego nieprzewidywalność, ale tutaj też odwołajmy się do tego co mówił Sikorski z pranksterami – on mówił, że Trump paradoksalnie może doprowadzić do eskalacji ze strony ukraińskiej, czyli krótko mówiąc „siłą” przekonać Putina, żeby zasiadł do stołu rozmów. Tego wariantu wykluczyc nie możemy, on byłby korzystny dla Ukraińców. Chodzi np. o ewen-

Teatralne wspólnoty same sobie



- Zachwycająca scenografia „Flisa”

ważać o tym, jak doświadczenia międzypokoleniowe i opowiadanie ich wśród przedstawicieli odmiennych generacji może poszerzać nasze horyzonty wrażliwości. Poruszająca fabuła została wzbogacona o występy romskich artystów, którzy w pełni autentycznie oddają piękno swojej kultury.

Dla jedności!

Oba spektakle, które stanowiły główne wydarzenia moniuszkowskiego festiwalu, opowiadają przede wszystkim o jednoczeniu się wspólnot, zbliżaniu do siebie, niezależnie od charakteru podziałów i dyferencji. Elementem ściśle związanym z owym łączeniem wydaje się również fakt współtworzenia „Flisa” przez najstarsze poznańskie instytucje teatralne: Teatr Wielki i Teatr Polski. Współpraca o wymiarze międzyinstytucjonalnym tych dwóch przestrzeni artystycznych nie miała miejsca od lat, a dla miłośników teatru stanowiła ona ogromną, pozytywną niespodziankę.

tualne dostarczenie im pocisków JASSM. To mogłoby radykalnie zmienić sytuację na polu walki. Obecnie dyskusja na ten temat trwa. A więc teza Sikorskiego, że Trump może „pójść pod prąd” i doprowadzić do eskalacji jest realna.

Wracając do Pana studenckich lat, które spędził Pan na Uniwersytecie Adama Mickiewicza – jakie są Pana wspomnienia z tego okresu?

– To są bardzo miłe wspomnienia. Czas, kiedy Instytut Nauk Politycznych i Dziennikarstwa mieścił się na Szamarzewie, czyli przy ulicy Szamarzewskiego, w sąsiedztwie przepięknych Jeżyc (choć Morasko też jest bardzo urokliwe). WNPiD, to po prostu dobry wydział i każdemu będę go polecał. Uważam, że czas tam spędzony,



„Największym problemem Trumpa jest jego nieprzewidywalność, ale paradoksalnie może doprowadzić do eskalacji ze strony ukraińskiej”

– Współpraca z operą była wyzwaniem bardzo interesującym pod wieloma względami, w tym technicznymi – przyznaje Katarzyna Szramko, rzeczniczka Teatru Polskiego. Podczas premiery „Flisa” nadarzyła się dość rzadka okazja, aby Teatr Polski mógł skorzystać ze swego orkiestronu! – Poza tym jestem przekonana, że stali bywalcy Teatru Wielkiego docenili i piękne wnętrza naszego teatru, i kameralną atmosferę – dodaje rzeczniczka. – Każda tego typu współpraca jest okazją do tego, by uczyć się wzajemnie od siebie, podpatrywać dobre rozwiązania, doceniać pracę fachowców, dostrzegać rzeczy, których już w codziennej pracy nie widzimy – mówi Katarzyna Szramko. Obie instytucje zajmują się zgoła odmiennymi formami teatralnymi, więc fuzja artystów i pracowników z pewnością urozmaici dalsze działania obu teatrów, a może i zaszpeci ich dalszą współpracę? – Relacje, które siłą rzeczy podczas tego typu kooperacji się nawiązują, mają szansę – i często tak się dzieje – owocować w przyszłości. Taka dobra współpraca – na różnych poziomach organizacji – jest rzeczą, której sobie i innym instytucjom możemy tylko życzyć – mówi rzeczniczka.

Zarówno tym, którzy na „Flisa” przybyli, jak i tym, którzy nie zdążyli owocności tej kolaboracji doświadczyć, pozostaje wyczekiwać kolejnego sezonu – kto wie, może czeka nas kolejna okazja na zachwycanie się współpracą barwnych, teatralnych społeczności Poznania?

A co po oklaskach?

Znając wzruszający, wspólnotowy wymiar powakacyjnego powrotu teatralnych widowisk, warto spojrzeć na dalsze horyzonty trwającego sezonu. W nadchodzącym roku poznańska opera ustanowiła osią doboru spektakli pojęcie „pokoleń” – z czym w pełni rezonuje festiwal inaugurujący nowy rok teatralny. Prócz tego w programie znajdują się liczne utwory scenicznych, które radowały przez ostatnie lata publikę, i te, za którymi widzowie zdążyli zażęknąć, chociażby „Czarodziejski flet” i „Aida”. Nie można przegapić premier zbliżających się wielkimi, listopadowymi krokami, między innymi inscenizacji „Ślubu” Gombrowicza – jej przygotowanie będziemy relacjonować w kolejnym numerze BUCa.

W Teatrze Polskim w drugiej połowie października (20-27.10.2024) można wyczekiwać równie istotnego dla wspólnot wydarzenia: Festiwalu Bliscy Nieznajomi – Queer Fest. Stanowi on pierwsze przedsięwzięcie w kraju, w trakcie którego prezentowane będą jedynie queerowe spektakle. To doskonała szansa na przyjrzenie się wymiarom nieheteronormatywności w przedstawieniach teatralnych. Bilety są już dostępne w ramach rezerwacji – więc nie czekajcie, aby dołączyć do przestrzeni otwartości i refleksji nad aktualnymi społecznymi tematami.

Karolina KORKOSZ
kargol7@st.amu.edu.pl

nie jest czasem zmarnowanym, aczkolwiek był to też okres hucznych zabaw i działalności nieoficjalnego Instytutu Mylna. Jeśli chodzi o politologię w Poznaniu, uważam, że jest to najlepsze miejsce do studiowania nauk politycznych w kraju.

Razem z Przemysławem Osiewiczem jest Pan współzałożycielem naszej gazety, czyli Bardzo Uniwersyteckiego Czasopisma, a nawet pomysłodawcą tytułu.

– To taki „pranksterski” tytuł, który wymyśliłmy w burzliwej debacie z kolegami i koleżankami z Koła Naukowego Politologów i Dziennikarzy i całe szczęście – tytuł jest pranksterski do dzisiaj.

rozmawiał Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl

Ile musiało się zmienić, żeby nie zmieniło się nic. Przez rok rozbratu Rakowa Częstochowa z Markiem Papszunem klub sam narobił sobie problemów, które teraz trzeba rozwiązywać. Widocznie pod Jasną Górą było zbyt stabilnie, dlatego Michał Świerczewski poczynił ruchy wyłącznie „dla fabuły”. Właściciel drużyny w porę wcisnął reset. Przywracanie ustawień fabrycznych wiązało się jednak z powrotem w struktury klubu wieloletniego trenera Medalików.

Etyka pracy Marka Papszuna była prosta i bazowała na sukcesywnym wymienianiu słabych ogniów na coraz lepsze. W ten sposób piął się w górę od drugiej ligi do mistrzostwa kraju. Słynął ze swojej żelaznej kadry, korzystał wyłącznie z zawodników, których znał, którzy pasowali do jego filozofii gry i od których mógł wiele wymagać. Próg wejścia do drużyny był zatem wysoki.

Po zdobyciu mistrzostwa w sezonie 2022/23 Marek Papszun odszedł z klubu. Ekstraklasowi kibice byli zaskoczeni tą decyzją, mimo że sam trener zapowiadał ją od dłuższego czasu. W Częstochowie nie mieli o to jednak żalu, gdyż szkoleniowiec zachował się fair wobec pionu sportowego i szalikowców. Opuścił zespół będący na szczycie, a nie w dołku. Ówczesny Raków to drużyna kończąca ligę z przewagą dziewięciu punktów nad drugim miejscem, najlepsza ofensywna rozgrywek i defensywa tracąca najmniej bramek. Nic nie wskazywało na to, że po odejściu szkoleniowca tak wiele się zmieni.

Informatyk to nie nauczyciel

Dawid Szwarga został mianowany następcą Marka Papszuna. Naturalny wybór w myśl panującej mody na młodych trenerów analityków opierających styl gry na czystych statystykach. Wymiana na stanowisku miała przejść płynnie przez wzgląd na staż Szwargi w roli asystenta trenera Rakowa. Rzeczywistość zweryfikowała jednak, że piłka nożna nie obejdzie się bez czynnika ludzkiego.

Częstochowianie grali schematycznie i czytelnie, co doprowadziło do załamania formy w połowie rozgrywek. Bolesne doświadczenia z Ligi Europy osłabiły morale zespołu. Postawa zawodników na boisku dała jasny sygnał, że Szwarga nie „kupił” szatni, brakowało mu kompetencji miękkich. Słabo poradził sobie z plagą kontuzji pomimo dużej rotacji i najszerzej kadry w historii klubu. Zaangażował trzydziestu czterech piłkarzy, czyli o dziesięć więcej niż Marek Papszun. DNA żelaznej kadry upadło.

Raków zakończył ligowe zmagania na siódmym miejscu, przegrywając jako Mistrz Polski aż dziesięć spotkań, dziesięć też remisując. Sam właściciel klubu w kryzysowym momencie napisał na portalu X: „Niestety, staliśmy się ligowym średniakiem”. Mecze Medalików nie były przyjemne dla oka, śmiało można było je pomijać w weekendowych kolejkach. Zupełnie przeciwnie do sezonu mistrzowskiego, w którym tylko Raków oglądało się z radością.

Zespół Marka Papszuna pracował jak zdrowy organizm. Każdy zawodnik odpowiadał za swoją część boiska i miał wykonywać konkretne zadania. W ten sposób piłkarze rozwijali się indywidualnie, odciskając pozytywne piętno na drużynie. Taka metoda zarządzania zawodnikami wymagała dogłębnego poznania ich zalet i wad. Dzięki temu trener wiedział, do czego zdolni są jego podopieczni i czego może od nich wymagać. A wymagał dużo. Na te sposoby przede wszystkim potrzeba czasu, więc nie dziwnego, że Papszun swoje opus magnum osiągnął dopiero po siedmiu latach pracy. Szwarga podjął próbę powtórzenia jego myśli szkoleniowej, ale nie patrzył na indywidualności, tylko na kolektyw. Raków to projekt na tyle wyjątkowy, że do odniesienia sukcesu musi mieć zarówno pedagogiczne podejście, jak i despotycznego trenera. Dobry i zły glina w jednej osobie.

Rotacja bez planu

W połowie 2023 roku w Polsce podniesiono debatę na temat szkodliwego wpływu flipperów mieszkaniowych. W tym samym czasie działacze Rakowa sprytnie przenieśli ten sam schemat zarabiania na grunt klubu piłkarskiego – zaczęli flipperować zawodnikami. Absolutnym ewenementem jest przykład Maxima Domingueza, sprowadzonego na zasadzie prawa Bosmana i sprzedanego za 600 tysięcy euro. Szwajcar zagrał pół meczu w barwach Rakowa, natomiast cały jego pobyt w klubie trwał dwadzieścia siedem dni. Człowiek nie zdążył przejść wszystkich korytarzy w bazie treningowej, a już go spienili.

Odkurzyć wspomnienia



Za sprawą „papszunizmu” na stadion Rakowa powróciła radość

Tego typu przypadków jest więcej. John Yeboah, Ante Crnac, Łukasz Zwoliński również nie odnaleźli się w zespole. Odeszli po roku, zasilając częstochowski portfel bez wnoszenia czegokolwiek pozytywnego do drużyny. Pełna kasa miała zrekompenzować kibicom słabe wyniki ligowe. Przynajmniej lży mogli ocierać banknotami.

Po odejściu dyrektora sportowego Roberta Grafa Raków wykonywał dziwne ruchy na rynku transferowym. Ściągano piłkarzy bez głębszego selekcjonowania. Każdemu, kto choć przechodził pod Jasną Górą, proponowano kontrakt. Nie miało znaczenia ani to, czy zawodnik pasuje do filozofii gry, ani też, czy fizycznie wytrzyma cykl treningowy. Szatnia szybko zapełniła się piłkarzami „na wszelki wypadek” – pojawili się: Jakub Myszor, Tomasz Walczak, Kamil Pestka i cała wuchta bramkarzy. Głębia składu była tylko teoretyczna. W praktyce nie dało się stworzyć uniwersalnych wytycznych dla zawodników.

Sterem, żeglarzem, okrętem

Oficjalnie Marek Papszun powrócił na ławkę trenerską Rakowa 1 lipca, choć klub poinformował kibiców o tej decyzji już w maju. Nowy (stary) trener odkurzył stare metody treningowe. Trzon zespołu stanowi dwunastu zawodników, którzy tworzyli kadrę mistrzowską. Próg wejścia do drużyny ponownie jest wysoki, a niewielu piłkarzy ściągniętych przez Samuela Cárdenasa ma szansę na regularną grę.

Wspomniani byli już dyrektor sportowy Rakowa wbrew oczekiwaniom nie zreolucjonizował funkcjonowania polskiego klubu. Może i rzeczywiście jest chodzącą encyklopedią futbolu, jak nazywały go serwisy internetowe w dniu zatrudnienia, ale w Częstochowie sobie nie poradził.

Tylko dwóch z siedmiu piłkarzy, transferowanych przez niego za kadencji Szwargi, u Papszuna ledwo mieści się na ławkę rezerwowych. Matej Rodin dostaje minuty wyłącznie ze względu na kontuzję nekające obrońców Rakowa, a Erick Otieno łapie „ogony”, bo wydano na niego ponad 700 tysięcy euro i żal odsyłać go do rezerw. Pozostałych pięciu nie ma już w klubie.

Partnerstwo w niedoli Papszuna z Cárdenasem zapowiadało się ciekawie. Pion sportowy Rakowa kilkakrotnie zapewniał, że panowie dobrze się ze sobą dogadują i letnie wzmocnienia są efektem kooperacji. De facto jednak grali ci, których wybrał Papszun, a nie grali ci wyskautowani przez Niemca. Samuel Cárdenas złożył rezygnację po pół roku obejmowania posady w Częstochowie i zaledwie po trzech miesiącach współpracy z Markiem Papszunem. „Ma bardzo duże wymagania nie tylko wobec piłkarzy i sztabu, ale także osób, które są nad nimi” – powiedział Dawid Szwarga na temat swojego przełożonego w niedawnym wywiadzie na kanale Tomasza Cwiąkały.

Teraz doświadczony szkoleniowiec znów prowadzi projekt tak, jak lubi – samodzielnie, bo to przynosi efekty.

Rachunek zysków i strat

Marek Papszun przejmuje stery w Rakowie Częstochowa drugi raz w historii. Jego umowa jest najwyższym trenerskim kontraktem w Ekstraklasie i według szacunków Business Insider opiewa na 250 tysięcy złotych miesięcznie.

Wpływ na tak wysokie wynagrodzenie ma przede wszystkim fakt, że Papszun może wiele stracić na tej przygodzie. Sytuacja, w której znalazł się Raków, jest trudna. Niedawne odpadnięcie z Pucharu Polski na tak wczesnym etapie to największa porażka doświadczzonego trenera w jego karierze. Z bliskiego otoczenia Papszuna wiadomo, że podczas roku przerwy miał oferty prowadzenia mocnych europejskich klubów. Widziano go nawet w roli selekcjonera reprezentacji Polski. Trudno przewidzieć, jak kolejne dwa lata pod Jasną Górą wpłyną na ocenę jego warsztatu.

Po samym trenerze da się zauważyć, że traktuje tę przygodę z chłodną głową. Jest roześmiany i pewny swoich umiejętności. Jego powrót do Częstochowy to przede wszystkim chęć pomocy klubowi, któremu poświęcił ostatnie siedem lat życia. Właściciel Michał Świerczewski postara się nie popełniać podobnych błędów jak te z sezonu 2023/24, bo przecież Raków wreszcie musi się przygotować na życie bez Papszuna.